ROK I. NIEDZIELA. 22 MAJ. 1842.

Roczniki krytyki literackiéj wychodzą dwa razy w tydzień, we Środę i w Niedzielę, w objętości dużego pół arkusza. Numerów pięćdziesiąt i dwa, czyli jedno półrocze, stanowić będzie Tom; — dwa Tomy stanowią całość.

Przedpłata roczna wynosi R. s. 5, k. 40 półroczna R. s. 3, kwartalna R. s. 1 k. 80 — Prenumerować można: W Redakcyi Roczników krytyki literackiéj, przy ulicy Tłomackie Nr. 739 w pałacu dawniéj Ossolińskich, w officynie na 1szém piętrze; U osób prywatnych które się tem zajmować raczą; We wszystkich znaczniejszych księgarniach w kraju i za granicą; Na Urzędach i Stacjach Pocztowych w królestwie; lecz tam jedynie za przedpłatą roczną lub półroczną. Szan: Prenumeratorowi: w Warszawie mieszkający, na żądanie nadesłane sobie mieć będą Roczniki do mieszkań swoich bez żadnéj nadpłaty.—

Nr 39.

ROCZNIKI KRYTYKI LITERACKIEJ.

REDAKTOR GŁÓWNY: FR. HENRYK LEWESTAM.

JAN KOCHANOWSKI

w Czarnolesie. Obrazy z końca szesnastego wieku, przez Autorkę Karoliny i Krystyny. Dwa tomy. 1842.

(*Dokończenie.*)

Tendencją główną, o któréjśmy przy wstępie do obecnego artykułu jako o niezbędnéj konieczności w każdém nowszém dziele wspomnieli, jest przedstawienie obrazu obyczajów i pożycia starodawnych przodków naszych, nie w przesadzonym uroku zapatrywań poetycznych, ale w suchéj i prawdziwéj prozie rzeczywistości. Taka zaś tendencja zbyt łatwo mogłaby się z swojéj strony wyrodzić w rzecz prozaiczną i suchą: — potrzeba ją tedy było przyczepić do figur historycznych, których sam bieg życia nie zawierał jeszcze w sobie nic wyjątkowego, które jednak z tém wszystkiém były zjawiskami dosyć poetycznemi, aby cząstkę światła którém się same iskrzyły, na współczesny im także okres przelały. Z tego względu wybór *Jana Kochanowskiego* był arcy szczęśliwy. Tu albowiem i osobistość i imię i czas i ludzie któremi był otoczony, wszystko stawia go nad poziom przedmiotów zwyczajnych i płaskich: z drugiéj strony wiejskie ustronie w jakiém spędzał swe życie sławiony nasz poeta, przedstawia w nim obraz poważnego Pana brata szlachcica, i tysiączną podawało sposobność do przytoczenia owych drobiazgów domowych i publicznych, które tém samém że już nie istnieją, co dzień w oczach naszych większéj nabierają wartości.

Rozwinięcie charakterów w obrębie prawdy historycznéj, a tam gdzie ta nie wystarcza, w obrębie przynajmniéj prawdopodobieństw dziejowych, największą w wykonaniu takiego założenia przedstawia trudność.

Wiemy wprawdzie z opisów współczesnych, a lepiéj jeszcze z własnych pism wieszcza, jakie było jego usposobienie umysłowe, — jak wielka łagodność obyczajów, — jakie skłonności najbardziéj nim powodowały: — ale autorka sama dopiéro musiała utworzyć sobie obraz jego w gronie rodzinném, musiała nam przedstawić wielkiego męża, iż tak rzekę, w szlafroku. Przy takich zaś obrazach nie łatwo jest wstrzymywać się ciągle od przelania pewnego entuzjazmu w opisy choćby najbardziéj pospolite: dlatego to np. w trajedji nowożytnéj wszystkich prawie bohaterów historycznych widzimy kroczących na szczudłach wybujałéj deklamacji: zbyt ściśle w téj mierze poeci nasi trzymają się przepisu Horacjuszowego, aby lasy nawet były godne konsula, skoro kto lasy opiéwa *(si canimus silvas, silvae sint consule dignae)*. Przytém i familja Kochanowskiego, po części przynajmniéj, potrzebowała rysów wydatnych, stawiających ją nad innę figury uboczne. I tak Kochanowska jest starego toku matrona, gospodyni skrzętna, matka miłująca ale przytém surowa, w mężu swoim ideał wszystkich ludzi upatrująca; jakkolwiek z drugiéj strony właściwie ta skrzętność w gospodarowaniu nie bywała bynajmniéj główną cechą dawnych kraju naszego szlachcianek. Z córek najstarsza, Ewa, zajmuje nas żywością i wesołością temperamentu, który późniéj, gdy ją słodkie uczucie miłości opanowało, melancholiczne jakieś tęsknoty przybiera: Ewa jest najnaturalniéjszym typem naiwności dziewiczéj, — jest to obraz którego szczerze autorce winszować możemy. Ludwina mniéj już ma w sobie owéj naturalności: pobożność do tego stopnia wykonywana, tak zupełna abnegacja siebie saméj, tak ślepe poddanie się pod wolę przedżywotnego przeznaczenia, chyba tylko w umysłach upośledzonych z niejakiém prawdopodobieństwem ma miéjsce. Czyliż nie każdy nam to przyzna, skoro przeczyta opis jaki daje o Ludwinie gadatliwa Nastka, wierna matki i wszystkich córek stara piastunka, a który późniéj jeszcze w rozmaitych szczegółach z większą nieraz przesadą autorka daléj rozwinęła. »I urodzie panny Ludwiny» mówi Nastka, »trudno co przyganić, owszem w całém sąsiedztwie żadna się do niéj nie umywała. Już wyższa od siostry, białe to jak mleko, gdyby z jedwabiu cała i z axamitu, taka gładka i miluchna; do rany by ją przyłożyć; chodzenie jéj ciche, mowa łagodna i rozmyślna; od saméj kolebki pacierza pilnuje, *dziecinnych zabaw i igrania się strzeże, nigdy w głos się nie rozśmieje*, przy starszych milczy; pletliwe baśni i rozmowy płonne mimo jéj uszu przechodzą; cała w postach, w dobrych uczynkach, niewiem czém żyje chyba modlitwą. . . . . I prawdę rzekłszy, ona już dziś jakby święta; choć w czerni chodzi, jakaś łuna od niéj bije; człek grzeszny niema nawet do niéj śmiałości..» Pojmowalibyśmy ten opis Ludwiny, gdyby mowa była o kilkadziesięcioletniéj matronie, — ależ o panience lat zaledwie szesnaście liczącéj? — Podobna przesada, już nie uczucia, ale rozumu, widzieć się daje w obrazie jaki nam autorka o małéj Orszulce przedstawia: uniewinniają ją w prawdzie w téj mierze treny samego poety, ależ nic nie włożymy na karb zwodniczéj częstokroć, zwłaszcza tak boleśnie dotkniętéj miłości ojcowskiéj? W niektórych scenach zaś poznajemy Orszulkę nie jako dziécię dowcipne i grzeczne (czém zapewne była w istocie), ale jako wykształconą już rojem myśli rozumnych i w przeczucia moralne zaopatrzoną kobiétę. Na nas zawsze taka nienaturalność przykre robi wrażenie, — co większa, zdaje nam się nawet, iż gdyby w saméj rzeczy istniała, obowiązkiem było autorki złagodzić cokolwiek takową sprzeczność natury, równie jak obowiązkiem jest malarza portretowego godzić między sobą farby zbytnie kontrastujące.

Dziwnemi przy tak przesadzonych pojęciach wydawać się muszą myśli zdrowe i czyste zasady, jakie autorka gdzie tylko może w tém dziele o wychowaniu dzieci objawia. Prostota, którą słusznie za główną podstawę edukacji zwłaszcza kobiécéj uważa, tyle jest ujmującą, że ją koniecznie w najważniéjszych przynajmniéj zarysach dla czytelników naszych wypisać musimy: »Żadne dzieci najwięcéj cackane, głaskane, najzupełniéjszą wolność mające, podług najnowszych i najmędrszych ksiąg prowadzone, nie mogą miéć rzetelniéjszéj czci i miłości dla rodziców od téj, jaką miały dzieweczki Czarnoleskie; i żadne choćby na łonie zbytku, wśród hucznych i wyszukanych zabaw, w jedwabiu i w złocie chowane, nie mogły bydź od nich weselsze, swobodniéjsze, zdrowsze i szczęśliwsze. Była w prostém i surowém wychowaniu dawniéjszém korzyść wielka dla samychże dzieci; wszystko dla nich było wyborne, wszystko je bawiło; wcześniéj i lepiéj poznawały i pamiętały co złe a co dobre, co im wolno a czego nie wolno; ztąd postę-

powały raźniéjszym i pewniéjszym krokiem........ W Czarnolesie nie było żadnéj przesady, wszystko szło z prosta (?). Dziecię każde poczytywano za błogosławieństwo, ale żadna z dziewcząt nie wystawiała sobie, że jest jakąś ważną osobą; a wiedząc iż rodzicom winna życie i wychowanie, raczéj uważała siebie jako stworzoną do posługi i pociechy rodziców, niżli rodziców stworzonych dla siebie.»

Jeżeli jednak w niektórych obrazach autorka mimowolnie wykraczała po za granice naturalności, w innych za to prawdziwie mistrzowski pędzel okazała. Jako przykład przytoczymy opis jaki nam daje o panu Franciszku Kochanowskim, »dobrém chłopczysku w gruncie, ale próżniaku, *warchole* jak wtedy mówiono; do niczego on niebył, prócz do zmiatania półmisków i do spełniania kuflów. Polowanie na ptaszki już sobie miał za robotę, toż i łowienie ryb na wędkę, nad którem kiedy parę godzin posiedział i kiełbika złapał, pewny był że bardzo się spracował i wielkiego dokazał. Do zatrudnienia użytecznego a mozolnego miał wstręt zupełny, a to nie tylko z natury, ale i z głębokiego przekonania. Znając się jedynakiem i herbowym, wiedząc, że został po ojcu kawał pięknego majątku, którym matka zarządza, że jak jéj braknie — znajdzie się włodarz albo podstarości, wreszcie żona — spuszczał się na to zupełnie; a treść jego zasad, które często rozpamiętywał leżąc zimą pod piecem, a w lecie na trawie, była następująca: Kiedy mnie Pan Bóg szlachcicem stworzył i chlebem opatrzył, którego nie przejem — choćby mi też w miłosierdziu swojém drugi był dał żołądek — byłbym głupi jak stołowe nogi, gdybym się czém bądź trudził; pracę zostawić należy kmieciom, miéjskim synkom, chołyszom, a naukę ... jak się nazywa ... bakałarzom i poetom. Panom stryjom winszuję ich mądrości, ale im nic nie zazdroszczę; gdybym ja miał nad książką dukwieć, po godzinach gryźć pióro, i nocy nie dospać dla jakichsiś tam ... jak się nazywa ... rotuł, psalmów, Tassów, Wirgilich, kazałbym sobie dać łozy. I niech mi kto powie na co się to przyda? Panu Mikołajowi się zmarło choć rotuły pisał; Pan Jan ze wszystkiemi pieśniami i z całą sławą, przez połowę tyle jeść i pić nie może co ja; Pan Piotr ze swoją ... jak się nazywa ... Jerozolimą, gdzieś tam daleko poci się jak w łaźni, trawą żyje gdyby baran; Pan Andrzéj włóczy się ciągle za tym kanclerzyiem — także człowiekiem bardzo osobliwszym — niemając i chwili spoczynku. Nie było im wszystkim tak zrobić jak ja? Skoro człowiek ma co jeść, co pić, w czém chodzić, gdzie się wyleżyć, czegóż mu więcéj potrzeba? Pan Stryj namawia mnie do rycerskiego rzemiosła; chce bym wszelką bronią władać umiał; a mnie po co? —żebym jechał na wojnę. — Nie głupim, na wojnie zabić mogą. Wreszcie jedzieć tam tysiące braci szlachty co ich skóra świerzbi i głowa na karku im cięży — niech sobie jadą — i owszem; im ich tam więcéj będzie, tém bezemnie prędzéj się obejdzie. Nie byłemci na ostatniéj wojnie, bom téż był prawie dzieciuchem, dobrze poszła mimo tego. Pójdą tak i inne. Ja tam pychą nie grzeszę, pokornegom ducha.— Pan Stryj mówi jeszcze: «Jak tak nie będziesz nic umiał i wiedział, i bronią jak się należy nie władniesz, nie będziesz nic znaczył w kraju, ani na sejmikach, ani w czasie ... jak się nazywa ... elekcji.» Ja téż tego bynajmniéj nie pragnę. Co mi do kraju, kiedy ja mam Policznę; po co mi sejmików, kiedy ja i bez sejmiku w sąsiedztwie i w domu objeść się i opić mogę, a to bez guza i rany; bo ja mam mój rozum; skoro się upiję, nie kłócę się jak drudzy mędrsi, jedno spać idę. — Elekcja! a mnie co do niéj? czy Rdest czy Gaweński, czy Batory, czy Badura królem polskim mnie wszystko jedno; ani ten, ani ów nie będzie wiedział czy ja żyje czy nie, i ja go na oczy nie zobaczę; ani ten ani ów wioski ani mi da, ani weźmie, i dalipan więcéj mnie obchodzi jaki kucharz co w Polickiéj kuchni warzy, niż jaki tam król co rządzi w onym starym krakowskim zamku. »Wstyd, wstyd — mówi nie jeden — tak żyć.» — Wstyd, wstyd, a przecież nikt się mnie nie wstydzi. Matka za mną przepada. Jagienka się przysięga, że niemam równego sobie; i prawda, gdzie tylko pojadę, wszędzie mi radzi, wszędzie mnie karmią i poją, panny się do mnie wdzięczą, i Jagienka powiada: miałbym żon z jaki tuzin, gdyby tyle żon mieć można. Ale ja tam innéj mieć nie chcę, jedno tak jak Pani matka pragnie — Ewulkę — śliczną Ewulkę. — Najbliżéj mi jeździć do niéj, moja bułana już wie drogę, prowadzić jéj niemam potrzeby — sama idzie. Walna, czerstwa, zdrowa dziewka, kjeby rzepka, i gospodarne to, przysmaki różne umie; niech no raz się ożenię, będę przy niéj opływał jak pączek w maśle; pieczone gołąbki będą mi szły same do gąbki, a ja tylko będę usta otwierał i smakował. — A doszedłszy do téj ostatniéj części roz-

pamiętywań swoich, Pan Franciszek się oblizował, ślinkę łykał, i najczęściéj na tém kończył, że albo co przejadł i przepił, albo dosiadłszy bułanéj, jechał do Czarnolasu.»

Ileż to jeszcze podobnych znajdzie pasibrzuchów, co nie zważając na wyższe cele natury człowieczéj ospałe życie pędzą w niecnym materjalizmie! Wyznać należy że autorka w tym pięknym ustępie prawdziwy przedstawiła typ dosyć licznéj klassy teraźniéjszych młodzików, którzy zwłaszcza dla wszelkiego rodzaju poważniéjszéj literatury prawdziwie śmiertelną okazują obojętność. W ogóle nasza autorka wielką posiada sztukę określenia kilkoma wydatnemi rysami całości indywiduów; odsełamy z tego względu do zajmującego rozdziału XXI, w którym opisany jest zjazd u Kochanowskiego dziewięciu autorów, i który przy lekkiém na pozór obrobieniu przedmiotu wiele jednak zdradza głębokiéj znajomości ówczesnego stanu piśmiennictwa naszego. Jest to wielka pochwała, którą autorka mimowolnie, bo zapewne bez obrażenia własnéj skromności, w przypiskach do *Kochanowskiego w Czarnolesie* złożyła, w tych bowiem przypiskach najoczywistszy mamy dowód, jako nie płocho i z powierzchownem tylko zajęciem, ale z całém natężeniem długoletniéj pracy powoli i po rozmaitych źródłach materjały do dzieła swego zbierała. Oby wszyscy pisarze powieści i obrazów historycznych z równą sumiennością zawsze prace swoje wykonywali!

Sceny gospodarskie, jakkolwiek czasem cokolwiek naciągane (jak np. przegląd szatni domowéj) nie są przecięż bez interesu: dla czytelniczek zwłaszcza, między któremi podobne najbliżéj ich dotykające starożytności krajowe mało co jeszcze zostały rozpowszechnione. Całe w ogóle dzieło nosi na sobie wydatne piętno tak chwalebnego interesu, — a kiedy autorka w szlachetném uczuciu skromności, ale przytém i ocenienia siebie samej w przedmowie powiada, że nie *zabawę* za cel swój uważa jedno *użyteczność*, tedy chlubne jéj każdy czytelnik odda świadectwo, że w *Janie Kochanowskim* i jedną i drugą jak najpiękniéj połączyć między sobą umiała.

F. H. L.

ROZMAITOŚCI.

Po śmierci *Champollion mł lsz go* spostrzeżono, że między jego papierami brakowało wielu nader ważnych rozpraw, które sławny ten uczony czytał był w Akademji Francuzkiéj, a między któremi znajdowała się sławna nieoceniona praca nad podziałem czasu u starożytnych Egipcjan. Naprożno *Sylvestre de Sacy* i inni przyjaciele zmarłego starali się o wyszukanie tych rękopisów, — już zupełnie nawet nadzieję do nich stracono, gdy się szczęściem znalazły niedawno miedzy papierami zmarłego w przeszłym roku Egiptologa *Salvoliniego*. Salvolini, uczeń Champolliona, miał pożyczyć od niego te papiery, a po śmierci jego zupełnie je dla siebie zatrzymał; są nawet tacy którzy utrzymują, że z prac Champelliona Salvolini dosłownie nieraz korzystał, a przed publiczuością rozmyślnie taił tak ważne źródło: wszakże taki zarzut większego jeszcze wymaga udowodnienia. Obecnie rzeczone rękopisy znajdują się w posiadaniu konserwatorów Bibljoteki Królewskiéj w Paryżu, którzy zapewne niedługo wydadzą je na widok publiczny. Oto jest spis najważniéjszych manuskryptów, z którego każdy pozna, jakaby wynikła strata dla nauki starożytności, gdyby jéj przypadek przyjazny nie był posłużył: 1) Dictionnaire hiéroglyphique sur cartes; 2) Le même sur feuilles isoleés; 3) Le travail sur l'inscription de Rosette; 4, Une première copie de la Grammaire égyptienne; 5) Le mémoire lu à l'Institut en 1831 et sur lequel M. Biot a déjà publié un volume in 4to, de l'application à l'Astronomie ancienne et au calendrier égyptien; 6) Le journal du voyage en Nubie; 7) Le journal du deuxième voyage en Italie; 8) Le complément de la grammai copte, 9) Divisions et extraits du grand rituel funéraire hiéroglyphique; 10) Matériaux pour le panthéon égyptien; 11) Matériaux pour le traité de la religion égyptiene; 12) Histoire de l'Egypte. Wszystkiego jest tam rozpraw i pamiętników dwadzieścia i cztéry, które bez wyjątku pisane są własną ręką Champolliona, a przeto uchylają najmniéjszą nawet wątpliwość, jakoby rzeczywiście Salvolini mógł bydź ich autorem.